

Wujek

Wujek Janek miał dwa życia: przed wichurą i po wichurze. Przed wichurą był wesołym kawalerem, akordeonistą grywającym na weselach, bratem tętą do wypitki i nawet do bitki, choć w takich okazjach chudy i niezbyt krzepki wujek Janek zwykle obrywał. Wujkiem był właściwie tylko dla młodych Pokazabów, ale jakoś ten wujek do niego przylgnął i nawet przed sklepem chłopaki mówiły do niego:

– Dorzuć się do pół litra, wujek.

Wujek dorzucał.

Poza tym nic złego nie robił, tylko dziewczyny w brzezince obściskował i całował, czemu nie były przeciwne, i to nie tylko panny, lecz także niektóre mężatki. Mówiło się o tym na wsi, bo mały Polepa bardzo był do wujka Janka podobny, ale takie rzeczy tłumaczy się przez zapatrzenie. Miał wujek Janek w sobie coś, co przyciągało dziewczyny, i pewnie dlatego ani myślał się żenić, tylko do brzezinki co i raz chadzał.

Dwudziestego piątego sierpnia 1939 przyszła nad naszą wsią wichura, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali. Tu i ówdzie dachy na podwórka poleciały, a u Polepów stodoła złożyła się, jakby była zrobiona z kart do gry. Zerwał też wiatr blachę na dzwonnicy, czemu wielu się dziwiło, bo była porządnie do desek przybita. Nie oderwała się zresztą do końca, tylko stanęła na sztorc i tak wycelowana w niebo tkwiła. Proboszcz chodził wkółto dzwonnicy i frasował się. Na koniec ogłosił, że dobrze zapłaci temu, kto na dach wlezie i na powrót blachę przybije. Nikt się nie kwapił, bo dzwonnica u nas wysoka, ale niezbyt mocna, kiedy mocno wieje, kolebie się na boki i trzeszczy. Wreszcie ksiądz poszedł do Pokazabów i spytał:

– Wujku, przybijesz mi blachę na dzwonnicy?

Wujek popatrzył na proboszcza swoimi niebieskimi oczami i rzekł:

– Przybiję, proszę księdza dobrodzieja. Co mam nie przybić.

Ugodzili się co do zapłaty i następnego dnia, znaczy dwudziestego ósmego sierpnia, wujek wlaź z młotkiem w rękę na dach dzwonnicy. Rozsiadł się na szczycie i zagapił na świat. Patrzył na pola szerokie, lasy dalekie, rzeczkę opodal płynącą i wesoło mu było, że Pan Bóg stworzył tak piękny świat, a już najbardziej naszą wieś Marysinek, w której wujek urodził się, i której przez prawie czterdzieści lat życia nawet na jeden dzień nie opuścił. Nacieszywszy się dziełem Bożym, przesunął się ku skrajowi dachu i zaczął przybijać. Walił dzielnie młotkiem, aż zobaczył, że od strony dworu nadjeżdża zaprzężony w dwa kare ogiery wolant, na koźle siedzi stary January, a z tyłu rozpiera się dziedzic Dobromierski, gapiąc się to w lewo, to w prawo i podkręcając wąsa. Złość wzięła wujka, bo przypomniał sobie córkę młynarza Zośkę, którą na wszelkie sposoby próbował do brzezinki

namówić, ale nim się zdecydowała, przywabił ją dziedzic do dworu, pozbawił cnoty i pokojówką uczynił. Cierpiał mocno z tego powodu wujek Janek, pod dwór nocami chodził, ale nic nie uzyskał. Widok rozpartego w wolancie dziedzica rozeźlił go do tego stopnia, że postanowił wychylić się z dachu i napluć Dobromierskiemu na łepetynę. Położył się na brzuchu i czekał. Wolant zbliżał się dostojnie, a gdy był tuż obok dzwonnicy, z krzaków wyskoczył pies proboszcza Grzesznik, Januare szarpnął gwałtownie lejce, by stworzeniu krzywdy nie uczynić, wujek wychylił się, celując w łysinę widoczną na potylicy dziedzica, i w tej chwili, czy to wiatr powiał, czy wujek źle obliczył, w każdym razie poleciał w dół jak dojrzała ulegatka. Przez chwilę dziwił się, patrząc, jak szybko przesuwa się wszystko przed jego oczami, a potem gruchnął o ziemię i stracił przytomność.

Wysiadł z wolanta dziedzic, wybiegł z plebanii ksiądz proboszcz, baby zaczęły lamentować, przyleciały Pokazaby i wszyscy stali na wujkiem Jankiem, kiwając mądrze głowami. Przyjechał felczer, zapakowali nieprzytomnego na wóz i powieźli do dalekiego szpitala.

Długo wujek nie wracał w szpitalu do przytomności. Niemcy napadli na Polskę, brońto się Westerplatte, dzielnie walczyły armie „Łódź” i „Kraków”, a on ani o tym wiedział. Dopiero gdy Ruski wkroczyły z drugiej strony, otworzył oczy i rozejrzał się po szpitalnej sali. Spadając, połamał sobie, co tylko mógł, więc trzymali go w szpitalu do końca września, a potem go wypisano i krewni odwieźli go wozem z powrotem do Marysinka.

Wujek bardzo się zmienił. Mówił niewyraźnie i nie bardzo do rzeczy. Patrzył na nasz Marysinek, jakby go nigdy wcześniej nie widział, a co najdziwniejsze, zapomniał gry na akordeonie. Brat i bratowa dawali mu instrument do ręki, ale nie wiedział, co z nim robić, przebierał bezradnie palcami po klawiszach i zniechęcony odkładał harmonię na ławę. Na weselach zaczął grać Józek Dyda. Szło mu gorzej niż wujkowi, ale jak weselnicy popili, nikt nie zwracał uwagi.

Hitlerowska swołocz rozpanoszyła się tymczasem w Polsce. Wszędzie leżli w oczy, a wraz z nimi zdjęcia przekłętogo Adolfa. Jedno z takich zdjęć zobaczył wujek Janek w gazecie, która leżała na stole u proboszcza. Wziął ją do ręki i długo się przyglądał. Zaczął się cesać z przedziałkiem po lewej stronie i zapuścił faszystowski wąsik. Rodzina się przestraszyła, bo z tym wąsikiem zrobił się wujek dziwnie podobny do Hitlera. Do tego zaczął wynosić na podwórko stołeczek, stawać na nim, wyciągać rękę i wołać: „Heil Hitler!”

– Janeczku – mitygowała go bratowa. – Nie możesz być podobny do Adolfa. Zrozum wreszcie. Do Adolfa może być podobny tylko sam Adolf.

– Pierwszy Niemiec, który cię zobaczy, z miejsca cię zastrzeli – dodawał brat.
– Po co ci to?

– Jak nie Niemiec, to sąsiedzi zatłuką cię jak psa – ostrzegała bratowa.

Ale gadał dziad do obrazu. Wujek Janek uparcie stawał na stołeczku i robił Heil Hitler. Brat z sąsiadem Polepą złapali go pewnego dnia, obalili na łóżko i zgolili przekłętą wąsik. Ale wąsik odrósł. Nie było na wujka siły.

– Trudno – powiedział brat. – Mają go zabić, to niech zabiją. Sam się prosi.

Ale Niemcy nie zabili wujka. Owszem pewnego dnia przyjechali do Marysinka volks-wagenem kübelwagenem. Wujek z daleka usłyszał warkot silnika, włączył na stołeczek i wykonał Heil Hitler. Niemcy podjechali i zatrzymali się.

– Niech go zabijają, byle chałupy nie spalili – powiedziała bratowa do brata, patrząc przez okno na Niemców.

Tymczasem hitlerowcy uśmiechali się szeroko na widok wujka, a jeden wyjął aparat fotograficzny i zrobił mu zdjęcie. Potem odjechali.

Zdjęcie musiało się faszystom spodobać, bo co i raz przyjeżdżali do Marysinka, stawali przed chałupą Pokażabów i oglądali wujka. Jeśli nie było go na podwórku, trąbili i krzyczeli:

– Heil Hitler!

Słyszac to, wujek chwycił stołek, wypadł na podwórko i unosił dziarsko rękę w pozdrowieniu. Hitlerowcy klepali go po plecach i dawali mu kielbasę. Latem, gdy była praca w polu, nieraz wujek leciał na dźwięk klaksonu miedzą, żeby stanąć na stołeczku. Kielbasy Pokażabom nie brakowało.

Wielu miało za złe, że Polak i katolik płaszczy się przed szwabską swołoczą, i kto wie, czy wieczorem jakiś sąsiad nie zacząłby się na wujka ze sztachtą, by wałnąć go w łeb tak, żeby mu się klepki z powrotem poprzeszawiały. Bali się jednak. Wiadomo było, że ktoś ze wsi donosi gestapo, ale nikt nie wiedział, kto. Może kapuś był jeden, może dwóch, a może wszyscy na wszystkich donosili, kto to może wiedzieć. Wałną wujka za mocno, a Szwaby rozstrzelają mężczyzn i wieś spalą. Lepiej cicho siedzieć, czapkę na widok hitlerowca zdejmować i nie narażać się.

Dziwnie się ludzie czuli. Wyjdą z sierpami w pole czy zboże w kopki zacząć stawiać, a tu kręci się między nimi Adolf Hitler. Niby jak wszyscy robi, też mu pot po grzbiecie spływa, ale ciężko się z Hitlerem pracuje, śpiewać się nie chce, ani gadać, dziadowska robota.

Tak mijał miesiąc za miesiącem. Daleko w Berlinie Hitler cierpiął z powodu żółdka i u nas wujka Janka też nieraz łapała śraczka, i musiał pędzić w krzaki, żeby sobie ulżyć. Obaj się starzeli i wyglądali coraz paskudniej. Faszystom znudziło się oglądanie wujka i Pokażaby nie żarły już tyle kielbasy. Jeździły teraz Szwaby do dziedzica dworski koniak popijać. W końcu uciekły dranie, a dziedzic, który bał się bolszewików, z nimi. Daremnie wujek czekał na warkot samochodu. Nikt nie nadjeżdżał, tylko na horyzoncie pokazywał się dym i huk armatnich wystrzałów stamtąd dobiegał. W końcu na drodze pojawił się tuman kurzu, a po chwili wyłonił się z niego zgrabny gazik, zwany przez Rusków Czapa-jew. Z daleka widać było czerwone gwiazdy wymalowane na karoserii. Ludzie pochowali się w domach, tylko wujek Janek wypadł na podwórko ze swoim stołeczkiem i zrobił Heil Hitler. Ruskie podjechały do wujka i zatrzymały się. Jeden z nich wysiadł, obszedł go dookoła i rzekł:

– Ruki w wierch!

Wujek Janek nie zrozumiał, czego od niego żądają, i dalej stał z uniesioną ręką wyprostowaną jak struna.

– Ruki w wierch! – powtórzył Rusek.

– Heil Hitler! – nieco piskliwie odpowiedział wujek.

Rusek zdjął z ramienia pepeszę. Przymierzył i wypalił. Wujek zleciał ze stołeczka i leżał na środku podwórka, patrząc przestraszony na sołdata.

– Ruki w wierch! – powiedział po raz trzeci Rusek.

Wujek uniósł jeszcze bardziej rękę w górę.

– Oż ty swotocz! – wściekł się Rusek i wpakował w wujka cały magazynek pepeszy, czyli 70 pocisków. Była to niepotrzebna rozrzutność, bo po pierwszych dziesięciu wujek Janek już nie żył.

Gdy Rusek strzelał, z wolna nadjechał czołg. Zatrzymał się obok gazika, uchylił się włącz i ukazał się w nim czerwonoarmista. Jeden z pasażerów Czapajewa podszedł do niego i coś mu tłumaczył. Czerwonoarmista zniknął we wnętrzu i po chwili można było usłyszeć, jak każe załadować do lufy pocisk burzący F-534. Potem lufa zwróciła się w stronę chałupy Pokażabów, rozległ się huk i belki, z których była zbudowana, poleciały w powietrze. Brat i bratowa wujka, widząc wędrującą w ich stronę lufę, wleźli pod swoje małżeńskie łóżce, ale nic im to nie pomogło. Tak Armia Czerwona wyzwoliła Marysinek od Pokażabów.

I po co to wszystko? Wystarczyło dać wujkowi odrobinę czasu, żeby zaczesał włosy do góry, zapuścił innego rodzaju wus i nauczył się na powitanie machać życzliwie dłonią. Owszem, w tamtej tragicznej chwili wujek wyglądał nieodpowiednio, ale czy to jest powód, żeby zaraz człowieka zabijać? Za co? Że chcąc napluć na dziedzica, spadł z dachu dzwonnicy? Ludzie, opamiętajcie się!



Fotografia – Danuta Deckert